

ERZSI SÁNDOR

Cóż innego mogłabyś zrobić, Matko!



Niezwykły,
poruszający
dwugłos matki
i ociemniałego
syna

WYDAWNICTWO
**Studio
Emka**

ERZSI SÁNDOR

we współpracy z Tamásem Juhászem

Cóż innego
mogłabyś zrobić,
Matko!

Przełożyła

Klara Anna Marciniak

WYDAWNICTWO
**Studio
Emka**

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

CÓŻ INNEGO MOGŁABYŚ ZROBIĆ, MATKO!

Tytuł oryginału: *Szegény anyám, ha látnám* Przekład: *Klara Anna Marciniak* Projekt okładki: *MDESIGN Michał Duława* Zdjęcie na okładce: © *Dömölky Dániel* Redakcja i korekta: *Halina Tchórzewska-Kabata, Michał Kabata* Konsultacja okulistyczna: *lek. Monika Abel, specjalista chorób oczu* Redakcja techniczna: *Andrzej Leśkiewicz* Skład i łamanie: *Anter Poligrafia*

Copyright © 2013 Sándor Erzsi

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Studio EMKA
Warszawa 2021

Wszelkie prawa, łącznie z prawem do reprodukcji tekstów i ilustracji w całości lub w części, w jakiegokolwiek formie – zastrzeżone.

Wydawnictwo Studio EMKA
wydawnictwo@studioemka.com.pl
www.studioemka.com.pl

ISBN 978-83-66142-94-7

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dla Luizy i Juju

Na wstępie chcę się zastrzec, że nie wiem, jak należy wychowywać upośledzone dziecko. Nie mogę tego wiedzieć choćby dlatego, że mam tylko jedno niewidome dziecko, a na wyciągnięcie ostatecznych wniosków, mimo obiecujących sygnałów, jest jeszcze – mam nadzieję – dużo czasu. Nie wiem, czy droga, którą obrałam, jest dobra, dokąd prowadzi i czy w ogóle dokądkolwiek prowadzi. Możemy swobodnie eksperymentować, w końcu to nasze życie.

Ogólnie rzecz ujmując, okres mojego dzieciństwa, aż do mniej więcej piętnastego roku życia, postrzegam jako serię zamglonych, niewyraźnych obrazów. Są pewne wydarzenia, historie, które wyróżniają się spośród innych, niczym latarnia morska, która świeci wyraźnie widocznym światłem na dalekim horyzoncie: tak, to stało się, kiedy miałem osiem lat, a tamto, kiedy byłem nastolatkiem, ale w zasadzie swego dzieciństwa nie pamiętam. Dziwne. Nie mam pojęcia, czy to normalne, czy nie. Moje wspomnienia, może na skutek jakichś psychicznych urazów, nie utrwaliły się. Myślę, że nie całkiem bez powodu.

Tego, że chciałam zająć w ciąży i mieć jeszcze jedno dziecko, bylebym tylko nie musiała grać w teatrze kolejnej bohaterki powieści László Némettha, nie nazwałabym świadomym planowaniem rodziny. W tamtym czasie nudziłam się w teatrze w Kecskemét i wolałam uciec od obowiązków, zamiast je w kółko powtarzać. Moja córka miała wtedy prawie trzy lata i w pełni cieszyła się atrakcjami życia w domu aktora na prowincji: otwartymi drzwiami, wesołymi, dobrze opłacanymi, w stosunku do naszych skromnych pensji, wspólnymi nianiami, towarzystwem innych dzieci, które skazane były na wychowywanie się w grupie, oraz dużą, odpowiednią do okoliczności wolnością. Uznałam, że na dwudziestu ośmiu metrach kwadratowych, za regałem z książkami, zmieściłoby się jeszcze jedno dziecko. Nie spędzę chyba całego życia w teatrze w Kecskemét i przeniosę się wreszcie na stałe do Budapesztu, zanim ta dwójka przerośnie regał. Z grubsza tak

właśnie myślałam o powiększeniu rodziny, wychowywaniu dwojga dzieci, wspólnym życiu z ich ojcem, który mieszkał w Budapeszcie, oraz ze stanowiącym dodatek do naszego życia szorstkowłosym jamnikiem, a także pozostającym z nim w symbiozie syjamskim kotem.

Poprzednie dwa sezony teatralne upłynęły mi w taki sposób, że pakowałam do trabanta oba zwierzaki, wsadzałam córkę do będącego jeszcze w początkowym stadium rozwoju technologicznego fotelika dziecięcego i ruszaliśmy, zależnie od sytuacji, albo do Kecskemét, albo do Budapesztu. Jeśli brałam udział w przedpołudniowych próbach, to oddawałam córkę do żłobka, a wieczorem, gdy grałam w przedstawieniu, zajmowała się nią niania. W nocy po spektaklu, gdy już spała, zabierałam ją do samochodu i rano budziła się w swoim łóżeczku w Budapeszcie. Dziecko było kooperatywne, nie robiło problemu z jeżdżenia w tę i z powrotem. Kiedy już nauczyła się mówić, rankami pytała mnie tylko, czy jedziemy do żłobka dłuższą czy krótszą drogą. Wydawało się, że to wszystko da się ogarnąć z jeszcze jednym dzieckiem. Zmieszczą się w trabancie – kot i pies podróżują i tak na tylnej półce samochodu. Ojciec córki był pełen zrozumienia i niezawodny. Jako że widział mnie w roli bohaterki powieści László Németha, nie musiałam mu długo tłumaczyć, dlaczego wolałabym dziewięciomiesięczną ciężę od sześciotygodniowych prób. I stało się. Pod koniec sezonu do moich teatralnych kostiumów krawcowe musiały doszyć dodatkowo dziesięć centymetrów materiału. Po ostatnim spektaklu pożegnałam się ze wszystkimi na jeden sezon, a dyrektor ani słowem nie wspomniał, że stawiam ich w trudnej sytuacji. Nienawidziliśmy się po cichu i dyskretnie, a to ułatwiało sprawę. Oboje o tym wiedzieliśmy. Życzył mi dużo zdrowia, po czym z ulgą zamknął za mną drzwi swego gabinetu. Lato upłynęło pod znakiem różnych innych zajęć, wakacji, przybierania na wadze oraz drobnych zmian. Trabanta zamieniliśmy na zastawę. Postawiliśmy w pokoju piętrowe łóżko, wymontowaliśmy jego dolną część, a w to miejsce wstawiliśmy łóżeczko z zabezpieczającą kratką, a następnie spróbowaliśmy wytłumaczyć trzylatce, że będzie miała rodzeństwo, albo chłopca, albo dziewczynkę, i doszliśmy do wniosku, że dla wszystkich byłoby najlepiej, gdyby urodziła się jednak dziewczynka. Byłoby to dla nas znacznie wygodniejsze. W zasadzie jej oj-

ciec wolał chłopca, ale o tym dowiedziałam się dopiero po przyjściu na świat mojego syna, a nawet znacznie później, kiedy w końcu urodził mu się zdrowy syn z innego związku. Przypuszczam, że właśnie takiego sobie wymarzył. Zdrowego chłopaka. I pewnie nie obraziłby się, gdyby udało mu się to za pierwszym razem.

Nie zamierzaliśmy robić z tego wielkiego halo. Innym też rodził się braciszek albo siostrzyczka, no, może z wyjątkiem mnie; kiedy byłam mała, okropnie się bałam, że moja mama, która wychowywała mnie sama, zakocha się w kimś i odtąd będę musiała się dzielić nią z tym kimś. W moich koszmarnych snach urodziło mi się nawet rodzeństwo, które miało takie same prawa do mojej matki co ja. Na szczęście upiekło mi się. Mnie tak.

Byłyśmy z moją matką silnie związane. W naszej relacji nie było miejsca dla nikogo innego. Mimo tamtych moich uprzedzeń byłam pewna, że wszystko potoczy się gładko i samoistnie. Uparcie chciałam wierzyć, że los odwdzięczy mi się, chociaż nie będę go szanować. Zatem nie ma się czego bać.

A było czego. Z drobnymi różnicami udało mi się skopiować relację z moją matką w relacjach z własną córką. Zupełnie nie przeszkadzała mi w tym obecność jej ojca. Zawłaszczyłam ją, uwielbiałam i chwaliłam się nią przy każdej okazji, bo wydawało mi się, że jest doskonała. I taka była. Mogłam się domyślać, że jej radość z oczekiwania rodzeństwa nie płynie z serca, ale nie chciałam tego brać pod uwagę. Do szpitala na porodówkę, po umówieniu się z ginekologiem, zawiozłam siebie sama samochodem, zamienionym już wówczas na zastawę. Ojciec mojej córki zabierze ją do babci, gdzie później dostanie gorączki; i tak będzie przez kolejnych dziesięć, piętnaście lat, za każdym razem, kiedy uwaga przestanie być skupiona na niej. Nie spodziewałam się, że z powodu zazdrości, połączonej z bezradnością, temperatura na termometrze może podskoczyć do czterdziestu stopni. Wymioty doprowadziły ją prawie do odwodnienia. Chciała w ten sposób pokazać wszystkim, że nie życzy sobie tego, co się ma wydarzyć. Ale ciąży w dziewiątym miesiącu nie da się cofnąć. To oczywiste, że bez względu na okoliczności dziecko przyjdzie na świat i stanie się jej rodzeństwem.

Później, podczas częstych i głośnych kłótni między nimi, powracającym argumentem, który ucinał dyskusję, było zdanie wypowiediane przez moją córkę, wznoszącą się niczym twierdza nad swoim młodszym bratem i wymierzającą w niego ostateczny cios:

– To ja byłam tutaj pierwszym dzieckiem.

I miała rację.

W drodze do szpitala, na Placu Madácha, została mi w ręku dźwignia zmiany biegów zastawy. Jako że auto było na pierwszym biegu, wtoczyłam się do znajdującego się tam jeszcze wówczas serwisu samochodowego i uprzejmie zapytałam, czy mogliby mi z powrotem zmontować skrzynię biegów, zanim pojawiające się co piętnaście minut skurcze zwiększą swoją częstotliwość. Pracownicy warsztatu spoglądali na siebie z niepokojem, bo choćby po moich rozmiarach widać było, że nie wyolbrzymiam. Na pytanie, dlaczego jadę sama, czemu mnie nikt nie zawiezie do szpitala, na przykład ojciec szykującego się na świat dziecka, nie umiałam odpowiedzieć. Byłoby to normalne dla tych, którzy potrafią dzielić się swoimi problemami z innymi osobami i prosić je o pomoc. Moje życie prawdopodobnie potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdybym nie chciała w kółko wszystkim udowodniać, że człowiek nie powinien prosić o pomoc, tylko z pokorą samodzielnie zmierzyć się z problemem. Najwyżej potem, gdy mu się to uda, będzie się przechwalać i kłaniać przed wyimaginowaną publicznością, licząc na gromkie oklaski. Wydawało mi się logiczne, że skoro to ja jestem w ciąży, to i ja będę rodzić na porodówce. Nikt inny nie jest mi do tego potrzebny. W końcu dźwignię biegów też chciałam sama wsadzić z powrotem na miejsce, tylko mi to nie wyszło. Fachowa wiedza to potęga, nie zaszkodzi niekiedy uchylić przed nią czoła. Gdy skurcze zaczęły się pojawiać co dziesięć minut, byłam już w szpitalu.

W 1988 roku uznano za pewnego rodzaju rewolucję w dziedzinie położnictwa fakt, że po wcześniejszej cesarce chciałam urodzić siłami natury. Mój kolega ginekolog, jeszcze wtedy stażysta, wspierał mnie w tym i to nie jego wina, że nadgorliwy ordynator oddziału w ostatnim momencie porodu wbił swój łokieć w mój brzuch, przekonany, że tak będzie dla mnie najle-

piej. Faktycznie, nie mógł już bardziej pogorszyć sytuacji. Co prawda udało mi się uniknąć cesarki, ale myśląc o porodzie, wyobrażałam sobie coś bardziej transcendentalnego niż widok lekarza, który położył się na moim brzuchu. I tak, choć bardzo tego chciałam, nie udało mi się doświadczyć radości płynącej z porodu. W przeciwieństwie do mnie ojciec mojego dziecka, który odnalazł się do tego czasu, był wielce zadowolony, że urodził mu się syn. Ja czułam się trochę rozczarowana, chyba wolałam dziewczynkę, ale jeszcze bardziej chciałam, aby to wszystko już się skończyło. Położnik pozwolił ojcu dziecka, a swojemu koledze lekarzowi, przeciąć pępowinę, ale to mistyczne przeżycie również mnie ominęło, ponieważ w tym czasie z przerażeniem przyglądałam się noworodkowi, który, na pierwszy rzut oka, miał wybrakowany podbródek, czerwoną buzię, mrużył swoje podejrzenie czarne oczy i pod każdym względem wydawał się dużym krokiem wstecz w porównaniu z moją córką, która przyszła na świat trzy i pół roku wcześniej. Z tyłu czaszki, w okolicach karku, miał sporą wypukłość, którą można było niemalże wziąć w rękę. Ojciec dziecka musiał dostrzec moje głębokie rozczarowanie, bo pogłaskał główkę spoczywającej na moim brzuchu obcej istoty i zbliżywszy dłoń do owej guli uspokoił mnie głosem, jakim zwykł przemawiać do swoich pacjentów.

– Cóż począć? Będzie świetnie widzieć z tak dobrze rozwiniętym ośrodkiem wzroku.

To było pierwsze zdanie, które Tomi usłyszał w pierwszych chwilach swego życia. Jako że otaczający mnie mężczyźni, zapominając w przypiływie radości o mnie, poszli wspólnie napić się szampana, zostałam sama z leżącym na moim brzuchu noworodkiem. Był pomarszczony i nie podobał mi się, ale miałam nadzieję, że z czasem jakoś się wygładzi. Patrzyłam na jego buzię, próbując załapać z nim kontakt wzrokowy. Bezskutecznie. U nas w rodzinie wszyscy mają brązowe oczy, dlatego długo cieszyłam się, że moja córka czarowała swoje otoczenie najpierw niebieskimi, a potem wpadającymi w szarość tęczęwkami, aż w końcu w wieku dwóch lat dołączyła do grona brązowookich członków rodziny.

Twarzyczka Tomiego sprawiała wrażenie asymetrycznej, jakby jego jedno oko było większe od drugiego i daleko im było do błękitu. Wydawały się czarne, choć sama nie byłam pewna, bo zdaje się drgały. Znałam go dopiero od pół godziny, więc pomyślałam, że mam jeszcze wystarczająco dużo czasu, aby ktoś wytłumaczył mi to dziwne zjawisko. Zakładając, że ktoś inny też je widzi. Jakiś czas później, po wypiciu butelki szampana beze mnie, za to za moje zdrowie, mężczyźni wrócili i zabrali dziecko na salę dla noworodków. Ja poczłapałam na salę poporodową i wreszcie, po wielu miesiącach, położyłam się na brzuchu, po czym zasnęłam z wyczerpania. Nie chciałam *baby roomu* ani tego, by postawili jego łóżeczko obok mego łóżka. Właściwie niespecjalnie mi się podobał i pomyślałam, że przyszłych dwadzieścia lat w zupełności wystarczy, abym uświadomiła mu, że jestem jego matką. Zakładałam, że przez ten czas ja również zdążę się przyzwyczaić do myśli, że on jest moim synem.

Następnego ranka, podczas karmienia, badawczym wzrokiem przyglądałam się jego oczom w świetle lampy, która stała za mną. Wyglądały na zaczerwienione. Kocie oczy. Obracałam go, patrzyłam na niego z każdej strony, on zaś mrużył swoje nadal jeszcze drgające gałki oczne. Pomyślałam, że gdyby coś było nie tak, pediatra powiadomiłby mnie o tym, a skoro nic nie powiedział, to na pewno wszystko jest w porządku. Po przyjściu na świat otrzymał dziesięć punktów w skali Apgar, co oznaczało, że jest zdrowy, rozwinięty i ma prawidłowe zwięźnienie źrenic. „Skoro ma, to ma” – pomyślałam sobie i o nic nie pytałam. Choć sama tego nie widziałam. Jego podkscytowanemu ojcu, który kursował między szpitalem a domem, w którym wymiotowało nasze starsze dziecko z gorączką, również nic nie powiedziałam. Nie dałam po sobie poznać, że mam złe przeczucia, bo jednocześnie byłam pewna, że się mylę. Moją córkę urodziłam w końcu przez cesarskie cięcie, być może dzieci, które przychodzą na świat siłami natury, są bardziej zmęczone, a ich źrenice wolniej reagują na bodźce. Skąd miałabym to wiedzieć.

Czekałam. Czekałam na to, że w końcu zniknie z jego oczu ta podejrzana czarna plama, którą widziałam w świetle lampy zawieszanej nad moim łóż-

kiem. Za każdym razem, gdy podawano mi go do rąk, byłam pewna, że spojrzy już na mnie kolorowymi, niebieskimi oczami noworodka. Jak nie teraz, to następnym razem. Jak nie dziś, to jutro rano albo wieczorem. Kiedyś na pewno. Muszę tylko być cierpliwa. Pięć dni później dostaliśmy wypis ze szpitala. Ani pediatra, ani ojciec mojego syna, również lekarz, nie wspomnieli o niczym, co wskazywałoby na jakiegokolwiek odchylenie od normy. Na pewno zwariowałam. Przejdzie mi. W każdym razie tęsknota za moją córką przyćmiła problem, który tak naprawdę nie istniał. Cieszyłam się, że jesteśmy już w domu. Nie oczekiwałam wielkiego entuzjazmu z jej strony, miałam nadzieję, że sytuacja sama się rozwiąże. Inni też mają rodzeństwo i jakoś z tym żyją. Sama tymczasem doskonale wiedziałam, że moja miłość jest niepodzielna. Moją córkę kochałam, zaś synem opiekowałam się, karmiłam go, zmieniałam mu pieluszki, tak jak należy. Ale różnice między nimi były widoczne już od początku. Moja córka, która należała do pokolenia wychowanego na podręcznikach Spocka, zawsze wypijała do dna dokładnie wyznaczoną przez pediatrę dawkę pokarmu, po czym padała ze zmęczenia. Tomi miał osiem dni, kiedy wspólnie ze mną postanowił wyrzucić do śmietnika słynną książkę Spocka. Wysysał połowę wyliczonego co do grama pokarmu w butelce ze smoczkiem, po czym odwracał głowę.

Ach, pomyślałam sobie, nie masz w ogóle pojęcia o odruchu ssania, który uruchamia się po dotknięciu niemalże każdego punktu na takiej malutkiej buzi jak twoja. Kiedy przystawiam smoczek do krawędzi twoich ust, powinienes go połknąć jak ryba przynętę! Z rutyną, jak doświadczona matka, przykładałam smoczek butelki do buzi ósmiodniowego bobasa, który konsekwentnie odwracał od niej głowę. Nie byłam w stanie go nakarmić. A dokładniej mówiąc, nie potrafiłam nakarmić go zgodnie z zasadami. Moja córka śmiała się ze mnie, a ojciec dziecka z żywym zainteresowaniem obserwował toczącą się między nami walkę o pozycję, którą ósmiodniowy dzieciak wygrywał ze mną z dużą przewagą. A może po prostu buntował się przeciwko naukowemu wychowaniu albo przeciwko czemuś innemu, o czym jeszcze wtedy nie wiedziałam.

Jednak jakiś trudny do określenia blady niepokój wkradł się do mojej komfortowo urządzonej duszy: skoro ośmiodniowe dziecko już teraz stawia na swoim, to później powinienam spodziewać się innych niespodzianek. Ale o tym też nie rozmawialiśmy, tylko wzruszaliśmy ramionami, śmialiśmy się i zmierzaliśmy ku kolejnym dniom.

* * *

Dużo czasu spędzałam sama. Córka poszła do przedszkola, ojciec dzieci pracował, a ja zajmowałam się niemowlakiem. Poza tym gotowałam, prałam, sprzątałam, wyprowadzałam psa, robiłam zakupy, karmiłam kota. Podobnie jak inne. W przerwach badawczym wzrokiem przyglądałam się oczom syna. Zauważyłam, że gdy się budzi, jego gałki oczne nie drgają, jedynie źrenica schowana jest w dolnej części oka – jak słońce za wzgórzami. W terminologii medycznej to zjawisko nazywa się objawem zachodzącego słońca, z czego wtedy oczywiście nie zdawałam sobie sprawy, ale już niewiele brakowało, żebym się o tym dowiedziała. Poszukałam latarki, bo pomyślałam, że jeśli zaświecę mu nią w oczy, źrenica w końcu zareaguje. Wytrzymał to ze spokojem. Niemowlęta faktycznie dużo potrafią znieść.

Przez siedemnaście dni nic nikomu nie mówiłam. W tym czasie odwiedziła nas pielęgniarka środowiskowa, która również nie zauważyła niczego podejrzanego, a zatem na nowo spróbowałam utwierdzić się w przekonaniu, że nic złego się nie dzieje. Siedemnastego dnia powiedziałam ojcu dziecka tylko tyle, że temu niemowlęciu zapomniano ustawić fabrycznie odruch źreniczny. Stwierdził, że jestem głupia, ale potem przyjrzał się mu dokładniej. A przecież miał już ku temu niejedną okazję. Kąpał je, ubierał, zmieniał pieluszki. Powinien był zauważyć, że coś jest nie tak. No właśnie. Powinien był. On jednak również nie chciał tego widzieć. Ale teraz już musiał, nie miał wyboru. Nie udało się nam doszukać tego odruchu źrenicznego i nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Nie wypowiedzieliśmy tego na głos, ale oboje wiedzieliśmy, że ten, kto nie ma odruchu źrenicznego, nie widzi. Tymczasem dziecko popłakiwało przez sen na dole piętrowego łóżka, jadło wedle własnego uznania, tak jak dotychczas, po prostu sobie żyło, a jednak od tamtego momentu już nic nie było takie jak przedtem.

Jego ojciec musiał jechać do szpitala, bo czekała na niego praca, ustaliliśmy jedynie, że spróbuje umówić nas do znanego okulisty i porozmawia z nim. Usiadłam i zadzwoniłam do mojej matki. Powiedziałam jej, że nasze

dziecko nie ma odruchu źrenicznego. Cisza w telefonie była tylko o chwilę dłuższa niż się tego spodziewałam.

– Co to znaczy? – spytała moja matka z dobrze znaną rutyną starszych i doświadczonych osób, z tą samą rutyną, która przez siedemnaście dni dawała mi siłę do tego, aby nie widzieć tego, co widzę, nie wiedzieć tego, co wiem, i aby nie odpowiadać na pytania, których świadomie, dla własnego dobra, nie chciałam sobie zadawać.

– To znaczy, że jest ślepy – odpowiedziałam ze spokojem, bo przecież na pewno tak nie jest.

Znów nieco dłuższa cisza.

– Co ty teraz robisz? – moja matka zadała prawdopodobnie jedyne słuszne pytanie, jakie można było zadać w tej sytuacji. Nie tylko dlatego by uniknąć niewygodnej ciszy, ale też dlatego że z trudem znosiła, kiedy mówiłam jej o problemach, nie proponując żadnych rozwiązań.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale nie mogę wstać z fotela. Nogi mam jak z waty i przeszywają mnie dreszcze – odpowiedziałam w miarę spokojnie, bo sama byłam zdziwiona.

Koniec ciszy. Moja matka zaczęła wykrzykiwać do słuchawki rozkazujące zdania.

– My się teraz rozłączymy, a ty zadzwonisz zaraz do ojca swoich dzieci, do szpitala, powiesz mu, że już tam jedziesz z dzieckiem, poszukacie tego słynnego okulisty i dowiesz się, co się dzieje. Rozumiesz? Wstawaj natychmiast! Ja odbiorę twoją córkę z przedszkola.

Po czym odłożyła słuchawkę.

Zadzwoiłam, podniosłam się, zapakowałam dziecko do samochodu, zaczęłam prowadzić po wyboistej, śliskiej drodze, w jaką zamienił się w miarę gładko dotychczas wyasfaltowany bulwar. Nie pomyślałabym, że zastawa jest w stanie dowieźć taki ogrom niepokoju do szpitala. Tymczasem niczym niewzruszone dziecko gaworzyło sobie w mojej koszyku, a ja mocno wierzyłam w to, że gdy się zatrzymamy i spojrzę w jego stronę, będzie na mnie patrzyło takimi dużymi, ciepłymi, brązowymi oczami, jakimi nasza

rodzina patrzy na świat. Dojechałam na miejsce i poszłam z nim na górę, na oddział okulistyczny.

Moja matka miała rację, tryb rozkazujący podziałął nie tylko na mnie, ale także na ojca dziecka; słynny okulista czekał już na nas w drzwiach. Wyrwał mi dziecko z ręki, podniósł je pod światło i aż krzyknął z zachwytu.

– No proszę! Niewielu okulistów ma okazję zobaczyć w swojej karierze coś takiego! Niesamowite! To całkowita aniria! – po czym popędził do przodu z zawiniętym niemowlakiem, który zaczął już wówczas pojękiwać, nabierając niejakich podejrzeń.

Zamiast pójść za nim, usiadłam na trójnożnym krześle i obserwowałam, jak zewsząd zbiegali się do niego ludzie w białych fartuchach. Aniria to ładne słowo, ale co ono oznacza? I jakie są jej konsekwencje? Spróbowałam wstać, ale znów miałam uczucie, że moje nogi są jak z waty.

„Wstawaj” – słyszę w myślach głos mojej matki, tymczasem grupa osób w białych fartuchach, która otoczyła moje dziecko, podchodzi do mnie. A potem słyszę już tylko swój krzyk.

– Cholernie się cieszę, że sprawiliśmy wam taką radość, ale czy mógłby mi ktoś wreszcie wyjaśnić, co się dzieje? Panie profesorze, na litość boską, ostatecznie to ja jestem matką tego czegoś, co trzyma pan na rękach.

O rany! Naprawdę jestem jego matką. Mój syn ma już siedemnaście dni i do tej pory nie przyszło mi do głowy, że go Kocham. Kocham? To mało powiedziane. Jestem gotowa zabić tego, kto mu zagrozi. Za chwilę wyrwę go z rąk profesora i nigdy nie pozwolę, aby ludzie w białych fartuchach go dotknęli. Ale jeszcze wcześniej każdego z osobna uduszę wiszącymi na ich szyjach stetoskopami.

Zdaje się, że wyczuli, że nie żartuję, bo się rozeszli, a słynny okulista zaczął coś mówić w medycznym żargonie do ojca dziecka, spodziewając się, że ten go zrozumie; w końcu to też lekarz, a więc istota człękokształtna.

Oddał mi popłakujące niemowlę i już nigdy więcej nie spojrzął mi w oczy. Prawdopodobnie do niego także dotarło, że jestem matką tego dziecka. Niedojrzałą właścicielką tego cudu medycznego, ale poza tym niezbyt ważną osobą. Nie rozumiem medycznej łaciny, nie mam pojęcia o anirii, a

zatem nie zasługuję na ten wyjątkowy dar, albowiem zamiast go docenić, po raz dwudziesty zadaję denerwujące pytania w stylu: to w końcu widzi czy nie widzi? Będzie widzieć czy nie?

– No wie pani. Teoretycznie to nie powinno mu przeszkadzać w widzeniu – powiedział, litując się wreszcie nade mną.

– Ale prawdopodobnie będzie mieć albo już teraz ma glaukomę, bo, jak sama pani widzi, jedna gałka oczna jest większa od drugiej.

Widziałam to. Od samego początku. To dlatego jego twarz sprawiała wrażenie asymetrycznej. Potem wymienił kilka innych rzeczy, z czego zrozumiałam tylko tyle, że skoro mojemu synowi nie wykształciły się tęczęwki, to jego oczy są piekielnie wrażliwe na światło. Nie miałam odwagi powiedzieć mu, ile razy świeciłam dziecku latarką w oczy, próbując wywołać odruch źreniczny – bezskutecznie, ponieważ jego oko stanowi jedną wielką źrenicę, pozbawioną jakiegokolwiek ochrony.

Do tego momentu wszystko było jasne. Możliwe, że nadal będzie widzieć tyle, co do tej pory. Trzeba tylko kontrolować, aby glaukoma nie zniszczyła resztek wzroku. Na razie nic z tego nie rozumiem. Jeszcze nie wiem, co oznacza atak glaukomy, ani tego, jak potrafi wykończyć rogówkę, na zawsze odbierając wzrok mojemu synowi. Jeszcze nie zdobyłam wiedzy z dziedziny okulistyki, nie obroniłam dyplomu z różnych chorób oczu mojego dziecka, na razie rozumiem tylko tyle, że może będzie widzieć, i to mi w tej chwili wystarcza. Nie biorę pod uwagę innego scenariusza. To znaczy zrobię to, ale dopiero później. Teraz chodźmy już stąd. Słynny okulista krzyczy za mną:

– Proszę skonsultować się z nefrologiem, bo ta choroba często powoduje guzy nerek. Tylko proszę mi tu nie mdleć, mówię to na wszelki wypadek. Wcale nie musi tak być. W literaturze fachowej o tym piszą. Sama pani wie, odchylenia od normy lubią chodzić parami.

Faktycznie lepiej mieć to na uwadze. Chciałabym wiedzieć, z czym jeszcze wiąże się to coś.

* * *

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
